

Wspomnienia z lat 80.

Urodziłem się w 1963 roku. Mieszkałem z rodzicami w Łodzi.

Już jako uczeń szkoły średniej z kumplami (m.in. z Jarkiem Papisem, który potem był w Konfederacji Polski Niepodległej) zakładaliśmy Niezależne Zrzeszenie Szkół Średnich. Sympatyzowałem też z Ruchem Młodej Polski (w Łodzi działaczem RMP był m.in. Jacek Bartyzel).

Na wiosnę 1981 roku [25 maja] łódzki Komitet Obrony Więzionych za Przekonania zorganizował manifestację spod katedry [spod kościoła Jezuitów] pod sądy na Plac Dąbrowskiego. Dostałem biało-czerwoną opaskę i kierowałem ruchem, a potem dostałem kawałek dykty z napisem "Uwolnić Jandziszaka!".

Pamiętam też wspinałą imprezę zorganizowaną na 17 września 1981 roku, w której także brałem udział. Organizował to chyba Komitet Pamięci Marszałka [Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego - jego założycielem był m.in. płk Józef Szostak "Filip""]. Z tego okresu pamiętam Kostrzewę z KPN-u [Ryszard Kostrzewa - zastępca przewodniczącego łódzkiego KOWzaP-u a jednocześnie działacz łódzkiej KPN] oraz Andrzeja Ostoję-Owsianego (z jego synem - Adamem byłem na studiach). Nieraz odwiedzałem później mieszkanie Ostoja-Owsianych w Domie Literatów (wtedy przy Mickiewicza, obecnie - przy Piłsudskiego), gdzie organizowane były jakieś spotkania. Ostoja wtedy bardzo nam imponował, chociaż nie wszystko, co mówił wydaje mi się dzisiaj prawdopodobne. Opowiadał na przykład, że jako dziecko zabił jakiegoś chłopaka z Hitlerjugend albo, że rozmawiał z "Warszycem"...

Z tym, że ja do Ostoi jestem uprzedzony, gdyż on był na początku lat 90. na stypendium w Nowym Yorku w Instytucie Piłsudskiego (ja wtedy pracowałem na pół etatu jako sekretarz w tej placówce) i ten jego pobyt był bardzo nieudany, a sam Ostoja wrócił do kraju zaledwie po trzech tygodniach... Bardzo się wtedy rozczarowałem o zraziłem do niego.

Wróćmy do moich "przygód" w Łodzi.

15 listopada 1981 roku było odsłonięcie płyty pamiątkowej na ulicy Wschodniej 19, gdzie ochrana aresztowała Piłsudskiego. Ja tam przemawiałem z ramienia Niezależnego Zrzeszenia Szkół Średnich i wtedy musiała mnie namierzyć bezpieka.

Pierwsza "zadyma" po 13 Grudnia, w której brałem udział, odbyła się 15 grudnia 1981 roku. Wtedy zostałem "ścięty" wodą przez armatkę wodną.

Oczywiście kolportowałem prasę podziemną wszelkiego asortymentu.

Raz w życiu drukowałem też bibułę (to była jakaś lokalna gazetka solidarnościowa). Doszło wówczas do pewnego incydentu. Gospodyni mieszkania, w którym drukowaliśmy, pojechała do matki, ale jej "absztyfikant" o tym nie wiedział. Wieczorem - najpierw dzwonek, a potem walenie do drzwi i okrzyki: "Otwierać Otwierać!". Nie wytrzymałem wtedy i się posikałem w spodnie...

Kolejna demonstracja w Łodzi była 1 maja 1982 roku. W niej także brałem udział. Nie chcieli wtedy interweniować (bo to było komunistyczne święto), więc pokrzyczeliśmy trochę i rozeszliśmy się do domów.

Tymczasem w maju 1982 roku zdałem maturę, następnie egzamin wstępny i dostałem się na studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego.

26 sierpnia 1982 roku (w rocznicę rozpoczęcia strajków sierpniowych w zajezdni tramwajowej w Łodzi w 1980 roku), miałem zamiar wziąć udział w kolejnej demonstracji ulicznej, ale zostałem zatrzymany, gdy składałem kwiaty (jeszcze przed demonstracją). Chcieli mnie wtedy wyrzucić ze studiów, ale wybroniłem się argumentując, że nie można mnie ze studiów wyrzucić, bo jeszcze nie jestem studentem, skoro nie złożyłem ślubowania (rok akademicki zaczynał się 1

października). W ten sposób mi się "upiekło".

Już na pierwszym roku (jesienią 1982 roku lub na początku 1983 roku) zapisałem się do podziemnego NZS-u, który działał nielegalnie na Wydziale Prawa Uniwersytetu Łódzkiego. Wprowadził mnie do NZS-u chyba Andrzej Siciński (student historii), Jerzy Najdowski, albo Maciej Urbański - już nie pamiętam. Znałem Macieja Urbańskiego i nawet, gdy raz on poszedł do szpitala, to zostałem wyznaczony przez niego jako jego zastępca.

Przed wyjazdem z kraju w zasadzie nie miałem kontaktu z KPN-em.

W kwietniu 1984 roku wcześniej rano (6:02) wpadła do mnie do mieszkania bezpieka. Od razu poszli na balkon i tam znaleźli ulotki. Znaleźli też u mnie amunicję, którą zbierałem w celach kolekcjonerskich. Chcieli wtedy zrywać kafelki i boazerię, aby znaleźć broń. Wzięli mi ponad 160 książek, które kupiłem w czasach legalnej "Solidarności".

Najpierw trzymali mnie dobę w Komendzie Wojewódzkiej Milicji na ul. Lutomierskiej, na tzw. dołku. Potem przewieźli mnie do aresztu śledczego na ulicę Smutną. Ja tam wcześniej miałem praktyki, jako student prawa. Zadawałem mnóstwo pytań i musieli mnie zapamiętać. Podjechał akurat jakiś facet, ja stałem z esbekiem przed komisariatem na chodniku, a ten, który przyjechał, przywitał się ze mną.

- Panie, co pan robisz. Przecież to jest osoba zatrzymana!

Ten się przestraszył i zaraz sobie poszedł.

Na Smutnej siedziałem trzy miesiące. Dostałem zarzut przygotowań do próby obalenia siłą PRL-u. Siedziałem z jakimś milicjantem, który wziął łapówkę za paszport (w postaci kilograma pomarańczy) i z niejakim Kowalczykiem, który był podejrzany o zabójstwo. Był to czas procesu pracowników pogotowia oskarżonych o zabicie Przemyska, więc esbecy nawet mnie nie dotknęli. Ale ten Kowalczyk bił mnie w celi. Pewnie mu obiecali za to lepsze traktowanie.

Siedziałem do amnestii, która była na 22 lipca 1984 roku. Wtedy wyszedłem.

Okazało się, że zostałem wywalony z uczelni. Miałem też niezdane egzaminy. Poszedłem do naszej pani dziekan (nazywała się Petrykowska [prof. Biruta Lewaszkiwicz-Petrykowska - kierownik Katedry Prawa Cywilnego i dziekan Wydziału Prawa UŁ]), a ona mi powiedziała, że po jej trupie mnie wywalą. Powiedziała mi też, że ówczesny rektor Uniwersytetu, wprawdzie był "czerwony", ale ma nastawienie opozycyjne. Wynikało to stąd, że 13 grudnia 1981 roku trwał strajk na Uniwersytecie - jak ogłoszono wprowadzenie stanu wojennego, to wszyscy uciekli, ale woźny nie otworzył drzwi zomowcom. Otworzył je im dopiero rektor Wróblewski [?]. Zomowcy mieli go wtedy bardzo brutalnie pobić, bo myśleli, że to jest ktoś ze strajkujących. No więc pobity rzez pomyłkę rektor robił na złość władzy. Dzięki temu znowu zostałem zapisany na listę studentów.

To już był lipiec i miałem odbyć praktyki. Wszystkie miejsca były zajęte. Została tylko prokuratura. Pierwszego dnia byłem tam bez żadnych przeszkód, ale następnego zostałem wezwany do prokuratora wojewódzkiego. Ten mi powiedział, że ponieważ współpracuję z grupami imperialistycznymi na Zachodzie, to nie mogę odbywać praktyk w prokuraturze.

Poszedłem znowu do pani dziekan Petrykowskiej i powiedziałem, że nie mogę zaliczyć praktyk, bo wszystkie miejsca już zajęte, a z prokuratury mnie wyrzucili.

- To ja panu wpisuję, że pan odbył praktyki.

I wpisała mnie na kolejny rok prawa.

W październiku zacząłem kolejny rok studiów, ale dostałem cynk, że siedem osób ma być wyrzuconych z uczelni łódzkich przez ministra oświaty - profesora Żygulskiego. Miałem być wśród tych osób. Z drugiej strony moja mama potwornie się o mnie bała - przeżyła bardzo ciężko moje aresztowania.

- Synu, jakby cię mieli trzeci raz aresztować, to może lepiej, żebyś wyjechał?

Ja też byłem zdesperowany. Wziąłem wszystkie moje papiery i pojechałem do ambasady amerykańskiej w Warszawie. Stałem w długiej kolejce, ale już o 10-tej zostałem przyjęty. Kazali mi

przyjść o godzinie 15-tej tego samego dnia. A jak przyszedłem, to powiedzieli mi:

- Witamy w Ameryce!

Między 10-tą a 15-tą musieli gdzieś sprawdzić to, co im mówiłem i uzyskali potwierdzenie, że to była prawda. Od razu dostałem promesę wizy. Kazali mi tylko załatwić sobie prześwietlenie płuc. Od polskich władz dostałem paszport z prawem przekroczenia granicy w jedną stronę.

Pod koniec listopada 1985 roku wyleciałem do Stanów Zjednoczonych. Ścisłej rzecz biorąc wyleciałem (na swój koszt) do Frankfurtu nad Menem. Tam mnie odebrała jakaś babka z polsko-amerykańskiej fundacji. Trafiłem do jakiejś miejscowości pod Frankfurtem, gdzie musiałem wziąć udział w kursie wiedzy o Stanach Zjednoczonych. Prowadziła je jakaś Amerykanka, a jej słowa tłumaczył tłumacz. Dostawałem 5 marek na dzień "na życie". Zajadałem się orzeszkami (M&M) oraz pomarańczami, więc nie narzekałem. Dali mi broszurę na temat tego, jaki to jest kraj, te Stany Zjednoczone, jakie tam są obyczaje, jak należy się zachowywać i tak dalej. Ta Amerykanka opowiadała straszne głupoty (na przykład - że komunikacja miejska w dużych miastach jest darmowa).

Po takim kilkudniowym kursie odleciałem do USA, już na koszt rządu Stanów Zjednoczonych. W Ameryce wylądowałem 12 grudnia 1985 roku.

Legalnie mogłem wziąć ze sobą 10 dolarów. I tyle wziąłem. Ale legalnie można było wziąć ze sobą spirytus. Miałem więc jeszcze ze sobą 5 butelek spirytusu...

W Ameryce przez pierwsze cztery miesiące dostawałem 30 dolarów tygodniowo (czyli 120 miesięcznie) oraz darmowe lokum (z kolegą). Ale pracy mi nie załatwili. Jedzenie też musiałem sobie sam zapewnić. Jak pytałem się o kursy językowe (bo ze szkoły znałem tylko rosyjski i niemiecki), to mi powiedzieli, że kursy są dla Czarnych. Jak mówiłem o jakimś kształceniu, to oni mi mówili - "Do roboty!". Ponieważ nie znałem języka, to zostawała mi tylko praca fizyczna. Sam sobie załatwiłem lekcje językowe, sam znalazłem pracę, i tak - krok po kroku. Na kontynuację studiów prawniczych nie miałem żadnych szans.

Początkowo pracowałem jako sprzątacze w wytwórni filmowej Astoria [Astoria Studios]. płacili mi za osiem godzin, ale robiłem swoją robotę w cztery godziny. Poza tym wtedy poznałem wszystkie najdroższe alkohole. Tam zawsze w pokojach stały butelki z tymi trunkami. Oczywiście nie mogłem wypić pół szklanki, ale jak wypięm 50-tkę, to oni nie zauważali...

Ja już w Łodzi interesowałem się filmem. Studiowałem prawo, ale chodziłem także na wykłady w Łódzkiej Szkole Filmowej. W 1981 roku przyjechał tam Polański. Był wielki jubel z udziałem rektora i innych VIP-ów. Dostałem się tam przez tylne drzwi (ja i dwóch kumpli jeszcze). Było tam strasznie nakopcone papierosami. Oczywiście wszyscy chlali. W pewnym momencie zauważyłem, że polański stał sam przy oknie. Podszedłem do niego. Był trochę narąbany (jak wszyscy), ale w zupełnie dobrej kondycji. Mówię:

- Mistrzu, co się stało? Dlaczego pan prawie płacze?

A on mówi:

- Brakuje mi Polski.

- Co pan opowiada, przecież nic w tej Polsce nie ma.

- Człowieku, ile ja bym dał, żebym miał ten kawałek Łodzi w Paryżu.

Zaraz przyszli inni:

- Romek, Romek - idziemy!

I tyle było mojej rozmowy z Polańskim. Widać było, że on tęsknił za Łodzią. Tu przeżył swoje najlepsze, młodzieńcze czasy.

Wracam do mojej pracy w Astorii. Oni kręcili jakiś film z Dustinem Hoffmanem [chodzi - być może - o film "Ishtar" z 1987 roku] i stąd była tam impreza z jego udziałem. Sprzątałem w tedy na III piętrze, gdzie była siedziba zarządu. Jak dowiedziałem się, że na dole jest Hofman, to przebrałem się w normalne ciuchy i poszedłem (to nie było jakieś wielkie przyjęcie, raut w

smokingach, więc nie obowiązywały stroje wieczorowe - specjalnie się więc nie odróżniałem swoim ubiorem). Na dole ochroniarz zapytał mnie skąd jestem, to zgodnie z prawdą powiedziałem, że "z trzeciego piętra" i mnie wpuścił. Nic by mi nie zrobili, gdybym to zrobił po godzinach pracy. Ale ponieważ zrobiłem to wieczorem, w czasie pracy, więc jak jakiś inny ochroniarz mnie rozpoznał, doniósł na mnie i mnie wylali.

Potem zaczęły się problemy, bo ja "techniczny" nie jestem. Polacy, którzy potrafią naprawiać różne sprzęty, to do dzisiaj są tutaj poszukiwani. Ale ja potrafię co najwyżej żarówkę wkręcić...

Było ogłoszenie w gazecie, że szukają kogoś do czyszczenia złota. No to się zgłosiłem.

- Czy kiedykolwiek czyściłeś złoto?

- Tak. Jak byłem na studiach, to sobie dorabiałem - skłamałem.

Dał mi maszynę i mówi:

- To czyść!

- Nie. U nas były inne maszyny. Pokaż mi, jak to się robi.

Ze dwa lata tam pracowałem. Dostawałem kawałek srebra czy złota i musiałem to wyczyścić. Te przedmioty, które czyściłem, trafiały nawet do Tiffany`ego.

Potem zrobiłem sobie prawo jazdy i pracowałem jako taksówkarz. W Ameryce auto to jest najmniejszy problem w tej pracy. Problemem jest licencja. Wtedy ona kosztowała około 60 tysięcy dolarów. Dla mnie to była kwota ogromna. Ja nie miałem licencji, tylko pracowałem dla innych mniejszości narodowych, których przedstawiciele tę licencję mieli.

Złapałem kontakt na Mariana Faryniarza, który nagrywał wszystkie imprezy antykomunistyczne w Ameryce (w celach dokumentacyjnych). Przykładowo, gdy go poznałem, to montował film z wizyty pułkownika Górnickiego w USA, w czasie której doszło do antyrządowych protestów. Faryniarza poznałem na pokazie jakiegoś filmu Mirosława Chojeckiego w Nowym Yorku. Faryniarz miał firmę, która później przyjęła nazwę Videofact, a ja mu później w tej pracy filmowej pomagałem. Faryniarz wydał fortunę na różnego rodzaju nagrania, w tym na notacje (m.in. z Janem Nowakiem-Jeziorańskim i ze Stefanem Korbońskim). Potem przeprowadził się do Kalifornii, a teraz jest w Północnej Karolinie. Natomiast materiały Videofactu zostały zdublowane i są obecnie w polskim IPN-ie (dwa lata temu przyjechał do USA razem z Szarkiem jeden z dyrektorów IPN, to wszystko zostało skopiowane i zabrane do kraju).

Przez Mariana Faryniarza poznałem Ryszarda Jonaka oraz Marka Ruszczyńskiego, którzy kierowali wtedy nowojorskim oddziałem KPN-u w USA (a w zasadzie sami dwaj tworzyli ten oddział). Oprócz nich był jeszcze Maciej Pstrąg-Bieleński w Chicago, który kierował strukturą KPN-u na całe Stany Zjednoczone.

Mark Ruszczyński jest niewiele starszy ode mnie (czyli wtedy, gdy go poznałem miał około 25-30 lat, a teraz będzie miał około 60 lat). Nawiał z PRL-u w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w Hiszpanii w 1982 roku. Przeszedł przez jakieś obozy w Europie, a potem przybył do USA (ale nie wiem dokładnie kiedy - jak ja przybyłem do Ameryki, to on już tu był rok lub dwa). Jego żoną jest Polka (pobrali się krótko potem, jak ich poznałem), mają dwójkę dzieci. Mark, gdy przybył do USA, to już mówił perfekcyjnie po angielsku. Szybko stał się bardziej amerykański niż sami Amerykanie. Zrzekł się polskiego obywatelstwa. Pracował w jakiejś firmie *security*. To on załatwił wizytę Leszka Moczulskiego w Białym Domu (nie wiem, w jaki sposób), co spowodowało, że zajął miejsce Pstrąga-Bieleńskiego i objął szefostwo KPN-u na całe Stany Zjednoczone.

Wyjeżdżając z Polski mogłem wziąć ze sobą mienie. Zabrałem kołdrę, mój jasek i dwie repliki szabli polskiej. Jedną, tak zwany wzór 17 (stosowany w czasie wojny polsko-bolszewickiej 1920 roku), dałem Markowi, aby ten dał ją Moczulskiemu, który wręczył ją Bushowi.

Marek był bardzo aktywny w środowisku emigracyjnym. Był na przykład także w Komitecie

organizującym przyjazd do Ameryki Kornela Morawieckiego.

Samą wizytę Moczulskiego wspominam przykro. Bardzo się zaangażowałem w ten pobyt. Przez tydzień z nimi jeździłem, wypożyczyłem auto, poniosłem wydatki a sam nic nie zarobiłem. Tymczasem już na lotnisku Kennedy`ego pani Maria zwróciła mi uwagę, że mam w klapie wpięty znaczek KPN i spytała się, jakim prawem mam ten znaczek, skoro nie należę do KPN-u. Było też jakieś spotkanie w Nowym Yorku, na które Marek z nimi poszedł. Ponieważ ciężko było znaleźć miejsce przy krawężniku, więc zaparkowałem 30 metrów dalej, o co pani Maria miała do mnie pretensję. Ja rozumiem, jak by mnie ktoś najał... Ale ja im pomagałem za własne pieniądze!

W sumie Moczulski okazał się w porządku. Dla mnie to był mistrz, wielki człowiek. Choć z drugiej strony, nie był człowiekiem luźnym. Okazywał innym ludziom swoją wyższość - patrzył na wszystkich z góry. Nie był to "brat - łąta", jak na przykład Morawiecki, który przyleciał do Stanów Zjednoczonych kilka miesięcy po Moczulskim. Jeżeli ktoś zna obraz Matejki pt. "Konstytucja 3 Maja", to tam widać, jak niosą na rękach Małachowskiego, a na czele pochodu idzie król z wyciągniętą ręką do ucałowania. Odnosiłem wrażenie, że tak zachowywał się w Stanach Moczulski.

Kornela Morawieckiego też przywoziłem z lotniska moim samochodem. Zaraz po przylocie miał konferencję prasową na Greenpoincie. Mówił o sankcjach gospodarczych nałożonych na PRL. Twardo uważał, że trzeba je podtrzymać.

Spał u moich znajomych - Alicji i Krzysztofa Winnickich, którzy byli z Solidarności Walczącej z Wrocławia. Miał tam ze sobą jakieś zastrzyki, które sobie aplikował, ale nie wiem, co to było. Ja tego nie widziałem. Wiem tylko z opowiadań...

Potem Morawiecki pojechał do Waszyngtonu. Pojechałem razem z nim i filmowałem jego konferencję prasową na Kapitolu. Przyszedł na nią Zygmunt Broniarek z Polskiej Agencji Prasowej i zapytał Morawieckiego o sankcje. A on nieoczekiwanie powiedział, że zmienił zdanie i że te sankcje są bardzo złe w stosunku do Polski. Potem dowiedziałem się od państwa Winnickich, że Solidarność Walcząca dostała 50 tysięcy dolarów, żeby Kornel zmienił zdanie w sprawie sankcji. To były pieniądze na rozwój demokracji.

Kilka lat później przyleciał do USA Szeremietiew. Jego pobyt organizował Jonak, którego w międzyczasie Marek wyrzucił z KPN-u i który wstąpił do PPN-u. Romek rozmawiał też z Markiem Ruszczyńskim, a przez kilka dni mieszkał u mnie.

Pytałem go o rozłam w KPN-ie.

- Po co się dzielić? Mamy wspólnego wroga.

Szeremietiew patrzył na to inaczej. Był krytyczny wobec Moczulskiego i przedstawiał go w negatywnym świetle. Wytykał mu błędy. Namawiał mnie do wstąpienia do PPN-u. Powiedziałem, że składałem przysięgę Moczulskiemu i czuję się nią związany.

- Niczego ci nie sugeruje. Ale jeżeli taka jest twoja decyzja, to ja, jako członek - założyciel KPN-u, zwalniam cię z przysięgi danej Moczulskiemu i dziękuję ci za to wszystko, co zrobiłeś dla KPN-u.

W taki sposób zostałem członkiem PPN-u. Nie trwało to jednak długo, bo Jonak (szef PPN-u w Nowym Yorku) okazał się nieuczciwy. Przyjmował pieniądze od różnych ludzi, ale nie przekazywał ich na cele organizacyjne (dlatego Mark usunął go z KPN-u). Przyjął nawet pieniądze od byłego cichociemnego - Mariana Gołębiewskiego, ps. "Irka"¹. Potem okazało się, że Jonak jest

1 Marian Gołębiewski (1911-1996) - zob. więcej [https://pl.wikipedia.org/wiki/Marian_Go%C5%82%C4%99biewski_\(%C5%BCo%C5%82nierz\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Marian_Go%C5%82%C4%99biewski_(%C5%BCo%C5%82nierz))

nałogowym hazardzistą i wszystko przepuszczał w kasynie...

W latach 90. wycofałem się z działalności politycznej w USA, choć uczestniczyłem w różnych spotkaniach z działaczami politycznymi z kraju. Po odwołaniu rządu Olszewskiego przyleciał do Stanów Zjednoczonych Antoni Macierewicz - zbierał pieniądze na wolne media w Polsce. Powiedziałem mu na jakimś spotkaniu:

- Proszę pana, pan tu przyjeżdża i prosi o jałmużnę. A przecież mieliście władzę, mieliście wojsko, mieliście wszystko - mogliście to wszystko skończyć, a wyście to rozpieprzyli!

- Taka jest demokracja...